№ 34.

Warszawa, dnia 20 Sierpnia 1864 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA, w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).—**W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.—**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 596 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

WSPOMNIENIA Z KAPREI.

Na lazurach Napoleońskiéj zatoki wznosi się kilka rozkosznych wysep, jakby przygotowanych od natury dla człowieka na siedlisko spoczynku i wytchnienia po pracy. Między niemi Kaprea piérwszą ściąga uwagę każdego, a wędrówka do jéj gór i grot weszła w zwyczaj u wszystkich zwiedzających Neapol. Dwie godziny drogi rozdziela wyspę od miasta, a czas ten na barce obsługiwanéj przez malowniczych wioślarzy schodzi szybko i niepostrzeżenie. Zdala niepodobném się zdaje wylądowanie na wyspę wznoszącą się pionowemi skałami nad powierzchnię morza. Jedyny jednak port wybornie od natury ukryty wpuszcza spokojnego podróżnika w tę krainę wspomnień. Rzeczywiście, błądząc po skałach Kaprei, potrącając o gruzy gmachów przed tylu wiekami wzniesionych, wdzierając na szczyty skąd na Neapol cudowne roztaczają się widoki, niepodobna nie zanurzyć się myślą w ubiegłą przeszłość. Tyberyusz w swoim rozkoszném siedlisku tak mistrzowsko odmalowany przez Kraszewskiego w znakomitéj jego powieści Kaprea i Roma, staje przed naszemi oczyma. Rozpadłe w gruzy termy, łaźnie, amfiteatra uzupełniają swą postać, skruszoną dziś ręką czasu, nisze, tarasy, wyłamują marmurowe posągi, a cała okolica zapełnia się rozwiązłym dworem starego rozpustnika. To wszystko wiruje przed wzrokiem wyobraźni, lecz pióro napróżno sili się ująć i przelać na papiér. Czujem, że będzie to tylko słaba kopja obrazu nakreślonego ręką mistrza. Idźcie więc do oryginału, poznajcie Kapreę starożytną w całéj jéj potędze i uroku z opisu Kraszewskiego, który ją wydarł zamarłym czasom z niewysławioną siłą plastyki.

Nam został do opowiedzenia urok nowszych czasów tego zakątka ziemi. Kaprea niezawszebyła siedliskiem rozkoszy. Zwrócił na to uwagę jeden z współtowarzyszy, weteran pozostały z owych zastępów, które z wielką armją przebiega-

ły Europę zwycięzko przez ćwierć wieku. Skała Kaprei była teatrem walki będącéj jednym epizodem téj potężnéj epopei która się rozpoczęła 1789 r. a skończyła w 1815. Znakomite to wspomnienie pełne krwi i szczęku oręża, chluba dla męztwa francuzkiego, opowiemy jak nam się odbiło w przypomnieniu słów jednego z najznakomitszych pisarzy europejskich.

Od dwóch lat już Francuzi byli panami Neapolu, od piętnastu dni Murat był królem obojga Sycylij, a jednakże Kaprea zostawała w ręku Anglików. Król Józef dwa razy kusił się o zdobycie téj wyspy, dwa razy burza, owa wieczna sojusznica Anglji rozpraszała flotę francuzką.

Widok Kaprei, jakby żelaznemi okowami okuty zamykający przystęp i wody Neapolu był codziennym wyrzutem dla bohaterstwa Murata i śmiałości Francuzów. Zwykle też każdego poranku, kiedy słońce oświecało szczyty Sarantu, nowy król Neapolu z utkwionym wzrokiem wpatrywał się w tę wyspę. I każdego wieczora, gdy gwiazda dnia chyliła się za Procydę, Kaprea była przedmiotem rozmyślań Murata. A było nad czém myśléć, bajeczne bowiem rzeczy rozpowiadano o pozycyi wyspy, a szczególniéj o przygotowaniach porobionych przez Hudson Lowe do obrony brzegów. W saméj rzeczy, Angielski komendant niedowierzając łańcuchowi prostopadłych skał otaczających niemal każdy przystęp do wyspy, do dawnych fortyfikacyi dodał cztéry nowe reduty, założył miny na stokach wznoszących się nad przepaściami, których nawet dzikie kozy lękały się zwiedzać. Nareszcie przyrzekł każdemu nagrodę, ktoby odkrył przystęp dotąd od nikogo nie dostrzeżony i którykby mógł ujść baczności czatów rozstawionych wzdłuż brzegów. Co się tyczy załogi broniącéj wyspy, Hudson Lowe miał do rozporządzenia dwa tysiące żołnierzy i 40 dział, które w razie alarmu wystrzałami dawały znać o napadzie wyspie Ponza, gdzie Anglicy mieli stojących pięć fregat zawsze gotowych spieszyć na miejsce zagrożone. Takie trudności mogły każdego odstręczyć od pokusy zdobywania Kaprei. Każdego, ale nie Murata, dla którego szalonéj odwagi nie było nic niepodnego do wykonania. Przyrzekł, że weźmie Kapreę, a chociaż nie upłynęło od téj chwili trzech dni, to już mu się zdawało, że jest krzywo-przysięzcą, że ubliżył swemu honorowi. W téj właśnie chwili przybył do Neapolu jenerał Lamarque po wzięciu Gaety i Maratei, po wygraniu jedynastu bitew i zdobyciu trzech prowincyi. Lamarque był właśnie owym człowiekiem którego potrzebował Murat. Przy piérwszém więc zaraz spotkaniu, nie wyrzekłszy ani słowa, król podał jenerałowi lunetę i skinieniem wskazał na Kapreę. Lamarque chwilę spoglądał na wyspę, dojrzał flagę angielską powiewającą na bastjonach, fortach Ś. Salvadora Ś. Mikołaja i zrozumiał, o co chodzi.

— Tak Najjaśniejszy Panie, odrzekł składając lunetę, trzeba wyspę zdobyć.

— A więc? zawołał Murat....

— A więc będzie wzięta, powiedział jenerał.

— Lecz kiedy?

— Jutro! jeżeli tego żąda Wasza Królewska Mość.

— Wybornie! oto odpowiedź którą lubię. Wielu potrzebujesz ludzi?

— Ilu jest ich do wzięcia? zapytał Lamarque.

— Dwa tysiące mniéj więcéj.

Proszę od tysiąca pięćset do tysiąca ośmset. Wybór do mnie należy między temi których z sobą przyprowadziłem. My się wzajemnie znamy. Murat za całą odpowiedź podał rękę jenerałowi. Wieczorem ekspedycya ruszyła z przystani.

Miano zachować najściślejszą tajemnicę, ale cel pochodu został odkryty; cała ludność Neapolu zaległa miejsca koło portu wodząc wytężonym wzrokiem za tą drobną flotylką, która żeglowała z najzupełniejszą ufnością w pomyślny skutek, chociaż każdy z widzów był przekonany, że idzie o rzecz niepodobną, niemożliwą do wykonania.

Początkowo wiatr dął pomyślny, niebawem jednak zaczął słabnąć aż wreszcie zupełnie ustał. Płynię to więc z pomocą wioseł, ale żegluga w ten sposób szła bardzo wolno i już zaczęło świtać kiedy wyprawa oddaloną była jeszcze o dwie mile od wyspy. Wtedy jakby los sprzysiągł się na stawianiu Francuzom wszelkich trudności niepodobnych do przezwyciężenia: nagle zerwała się straszna burza. Bałwany morskie tłukąc o spadziste skały wyspy, czyniły niepodobném zbliżenie się do brzegów, a cóż dopiéro wylądowanie. O drugiéj godzinie dopiéro morze się uspokoiło a o trzeciéj wymieniono piérwsze strzały między kanonierkami neapolitańskiemi, a baterjami wyspy, krzyk 400,000 ust od Margeliny aż do Portici odpowiedział grzmotowi dział. Rzeczywiście było to szczególne widowisko, jakie nowy król dał swéj stolicy; on sam z perspektywą w ręku stał na tarasie pałacu. Z flotylli widziano ten tłum zalegający amfiteatr i nawzajem z brzegu ów cyrk którego arenę stanowiło morze. Cezarowie bawili swój lud walką zwierząt lub gladjatorów, Murat swoim poddanym przedstawił rzeczywistą walkę.

Po burzy, morze było spokojne jakby zwierciadło jeziora bez zmarszczek. Lamarque pozosta-

wił bombardy i kanonierki idące w ogniste zapasy z bateryami portu, sam zaś z wiarusami opłynął wyspę dla wyśledzenia jakiego bądź miejsca do wylądowania. Wszędzie niedostępne skały, nigdzie punktu, gdzieby stopę ludzką postawić można. Korpus angielski z 1200 ludzi postępując za tą garstką płynących wojowników, śledził każdy ich ruch, każde poruszenie. Były chwile, gdy już zwątpiono o skutku wyprawy i sądzono, że trzeba będzie wracać do Neapolu. Żołnierze ofiarowali się jenerałowi uderzyć na port, ale on tylko potrząsł głową, byłby to bowiem krok nierozważny, najzgubniejszy. Polecił więc raz jeszcze okrążyć wyspę, czy nie znajdzie się jaki przystęp przeoczony przy piérwszém śledzeniu. Pod stopami fortu Ś. Barbe znaleziono jedno miejsce gdzie piętrzące się skały nie były wyższe nad 40 do 50 stóp. Ale nad tym murem tak gładkim jak wypolerowany marmur szła spadzistość tak bystra, że z początku sądzono ją za niedostępną dla najśmielszych ludzi. Powyżéj zaś na 500 stóp sterczały znowu skały a na nich spoczywał rodzaj polanki nad którą o 200 stóp wznosił się fort Ś. Barbe. Ziejące ogniem jego bateryje panowały nad polanką nie dopuszczając schronienia żywéj duszy. Lamarque zatrzymał się w tém miejscu; przywołał adjutanta swego jenerała Thomasa i szefa szwadronu Livrana, a po krótkiéj z niemi naradzie zażądał drabin. Przystawiono jednę do gładkiego muru skał, ale gdy ta okazała się zakrótką dowiązano drugą i trzecią a w tedy jéj koniec dotknął krańca polanki. Anglicy patrzyli na te przygotowania z osłupieniem, uważając pracę Francuzów za czyn szalony. Co się tyczy żołnierzy, ci zrozumieli myśl swego dowódzcy, mówiąc między sobą: wybornie! wkrótce tu będzie djable gorąco! Jeden z nich postawił nogę na drabinie. Bardzo ci pilno?! rzekł do niego Lamarque, i usunąwszy na stronę zajął jego miejsce. Cała flotylla grzmotem oklasków czyn ten powitała. Jenerał piérwszy wszedł na drabinę a za nim wszyscy znajdujący się na statku. Patrząc na tę wstęgę ludzi chwiejących się w powietrzu za każdém uderzeniem wiatru od morza, powiedziałbyś, że to jest wąż snujący swe kłęby po skalistéj ścianie.

Zaledwie piętnastu ludzi z jenerałem na czele dostało się na płaszczyznę skalną, kiedy gęsty grad kul powitał ich przybycie. Dziesięciu z nich runęło w przepaść, ale w ich miejscu przybyło 20 daléj 40, stu nowych zawsze pod ogniem nieprzyjacielskim. Anglicy rzuciliby się na bagnety, aby tę garstkę walecznych zrucić w morze, ale spadzistość skał na to nie dozwoliła. Tymczasem Lamarque uszykowawszy swoich do boju, mimo oporu cofających się Anglików, z 500 ludźmi dotarł najwyższego szczytu skał. Było wtedy w pół do piątéj po południu. Jenerał widząc niezmierne zniszczenie zrządzone przez kule nieprzyjacielskie w jego szeregach, postanowił zaniechać dalszego wdrapywania się na wyżyny po drabinach. Sądził się dość silnym do odparcia większego ataku. Polecił więc jenerałowi Thomas, aby zaniósł ten rozkaz do flotylli, co téż nad wszelkie spodziewanie zstępując po uszkodzonéj od kul drabinie szczęśliwie mu się udało. Objąwszy dowództwo flotylli Thomass umieścił ją bezpiecznie na noc pod zasłoną małéj zatoki.

Przed zapadnięciem nocy, nieprzyjaciel w sile 300 do 400 ludzi po pięćkroć usiłował rozbić garstkę bohaterów Lamarqua, ale napróżno. Chwila ciemności jak to dobrze przewidział jenerał francuzki, ułatwiła, według umowy wejście po drabinach reszty żołnierzy do wyprawy należących. Tym razem wszystko odbyło się szczęśliwie, bo zmrok nocy nie dozwalał Anglikom strzelać celnie, i z wielkiém podziwieniem wiarusów obecnie jenerał Thomas wszedł na drabinę ostatni. Lecz wkrótce zagadka się wyjaśniła, jenerał bowiem przybywszy na miejsce, gdzie Lamarque obozował, zepchnął drbainy w przepaść i aby zapewnić nieodzowne zwycięztwo nie pozostawił swoim żadnéj ścieżki do odwrotu. Flotylla odpłynęła do Neapolu.

Obie strony znalazły się teraz w rownéj liczbie bo atakujący francuzi stracili do 300 ludzi. Dla tego Lamarque nie ociągając się sformował swą małą armję do boju, i w cichości nie odpowiadając ani jednym strzałem na ciągłe salwy Anglików, szedł prosto na ich spotkanie. Dwa oddziały uderzyły wściekle na siebie; skrzyżowały się bagnety, mąż z mężem się zwarł. Działa fortu umilkły bo Francuzi i Anglicy stali się jedną wzajemnie niszczącą się massą. Walka a raczéj rzeź trwała trzy godziny, w któréj nie używano innéj broni nad bagnet. W ciągu tych strasznych trzech godzin półkownik Hausel zginął, z nim pięciuset Anglików, reszta została otoczona. Półkownik Royal Malta poddał się i 900 anglików wziętych zostało do niewoli przez 1100 francuzów. Pałasze i karabiny jeńców wrzucono do morza. Trzystu żołnierzy pozostało na straży rozbrojonych nieprzyjaciół, 800 poszło z Lamarquem przeciw fortecy. Na teraz nie było już drabin, ale szczęściem mury dosyć niskie pozwoliły żołnierzom Lamarqua wdrapywać się na nie, po bokach swoich kolegów. Po dwugodzinnéj walce forteca została wziętą a jeńcy w niéj pomieszczeni.

Mimo zapadających ciemności, widzowie zale-

gający nadbrzeża Neapolu pozostali na swych miejscach, oczekując końca walki. Widzieli oni skałę w ogniu, lecz po kilku godzinach znowu ciemność zaległa wyspę. Nie widziano, kto był zwycięzcą, kto zwyciężonym. Tłumy oczekiwały do białego dnia febrycznym niepokojem miotane. Rano ujrzano chorągiew francuzką powiewającą na szczycie portu S. Barbe. Jeden olbrzymi okrzyk z 400,000 piersi rozległ się wtedy od Sorentu do Messeny, a grzmot dział w zamku Sainte-Elme rozlegając się nad okrzykiem tłumów poniósł piérwsze podziękowanie króla bohaterskiemu oddziałowi. Ale było to dzieło dopiéro w połowie spełnioném, należało jeszcze zdobyć Capri i Anacapri, dwa miasta sztuką i naturą umocnione. Wiadomo, iż z jednego do drugiego prowadzą schody nad przepaścią w skale wykute, tylko dwóch ludzi obok po nich iść może. Hudson Lowe na tę drogę jedyną obejmującą 480 stopni wymierzył na pół strzału 12 armat z jednéj, a 36 z drugiéj strony; pomagało kononadzie 20 szalup kanonierskich.

Nie było chwili do stracenia; nie można było czekać nocy, bo niebawem cała flota angielska zwabiona wystrzałami mogła podpłynąć i wysadzić na wyspę trzy razy silniejszy oddział niż Lamarqua. Należało ubiedz nieprzyjaciół, których nagle dostrzeżono na horyzoncie. Inaczéj zwycięzcy zamknięci w Saint Barbe musieliby się albo poddać albo umrzéć z głodu. Jak bój rozpoczęto tak należało go zakończyć, wysiłkiem prawie nadludzkiéj odwagi. Jenerał francuzki podzieliwszy swoją małą armję na trzy oddziały na czele piérwszego ruszył naprzód. Straszny i zdumiewający był widok patrząc na tę garstkę ludzi spuszczającą się na dół po schodach zwisłych nad przepaścią w obec półsetka paszcz ziejących ogniem. Dwustu zginęło w drodze nie od ran, ale druzgocąc się przez wpadnięcie w przepaść. Ośmiuset zawsze z Lamarquem na czele, dotarło swego celu, to jest do termów Tyberyusza które, zasłaniały Francuzów od kul angielskich z trzech fortów rzucanych. Obecnie po dokonaniu dzieła odwagi, nastąpiła chwila cierpliwości i wytrwałości. Wzięto się do dział opuszczonych przez Anglików obruciwszy je przeciw fortom dla uciszenia nieprzyjacielskiéj altyleryi. W tymże czasie nadciągnęła flotylla z Neapolu. Lamarque wybrał 12 armat z 24; czterysta ludzi przeciągnęło je przez góry i przepaście w pół ognia nieprzyjacielskiego i ustawiło na wysokości góry Solaro panującéj nad miastem. Była wtedy szósta godzina wieczorem.

Lecz w czasie tych przygotowań walka dziwny wzięła obrót. Flota nieprzyjacielska mimo przeciwnego wiatru zdołała zbliżyć się do brzegów wyspy. Wtedy sześć fregat, pięć brygów, 12 kanonierek i 16 szalup rozpoczęło przerażający ogień, oblegając tém samém oblegających, którzy naraz musieli się bronić przeciwko pociskom fortec i floty. Na tę scenę noc zapadła, obie strony znów musiały zawiesić walkę, ale mimo ciemności, mimo rozwścieczonéj burzy, Anglicy potrafili wysadzić na ląd dwustu kanonierów i 500 żołnierzy. Siły więc angielskie o trzecią część przewyższały oblegających miasto.

Nadszedł dzień a z nim rozpoczęła się nowu kanonada pomiędzy flotą, brzegami i fortami. Wtenczas powstał huragan miotający deszcz żelazny. Dwanaście dział 24 funtowych zionęło naraz ogniem. W mniéj jak w 30 minutach umilkła artylerja fortów i wyłamano otwór w murach. Teraz jenerał Lamarque zostawiwszy stu ludzi do obsługi dział, stanął na czele 600 walecznych, aby pójść do szturmu. W téj chwili wywieszono białą chorągiew na blanka fortecy. Hudson Lowe zażądał kapitulacyi. Tysiąc trzystu Anglików wspieranych przez 40 okrętów różnéj wielkości, poddało się 800 Francuzom. Kapitulacja była zbyt korzystną, aby ją Lamarque mógł odrzucić. W południe tegoż dnia 2200 żołnierzy Wielkiéj Brytanii zostawiło Kapreę francuzkiemu jenerałowi, udając się do portu Ponza. Tak się skończyły te dwa dni pamiętne dla oręża francuzkiego w Neapolu.

Przywodząc na pamięć te wspomnienia, niby niedawne, ale zacierające się ciągle, szliśmy z miejsca na miejsce, po niewielkiéj przestrzeni Kaprei. Nic nam już nie zostawało do widzenia prócz groty niebieskiéj. Nie mieliśmy w tém kłopotu, zaledwo bowiem ukaże się podróżny pragnący obejrzéć to dziwowisko natury, wnet obskoczy go do koła ze dwudziestu przewoźników, ciągnąc go do swéj łodzi. Chcąc bowiem zwiedzić grotę, nie można się do niéj dostać tylko płynąc morzem. Wejście do cudnego podziemia jest tak wązkie i niskie że zaledwo łódź może się wcisnąć w ten poziomy otwór.

W czasie najspokojniejszego morza pęd wody tak jest silny i z taką gwałtownością uderza o ściany skał że barka kołysze się i podskakuje jak wśród burzy. Trzeba się więc położyć w czułnie, aby nie być zgruchotanym w chwili nagłego wpadnięcia w otwór jaskini. Przybywszy pod grotę, zwykle podróżnik pyta się, gdzie ona jest? żadna bowiem wskazówka o niéj nie uprzedza, tym więcéj, że piana morska zasłania czarny punkt stanowiący wejście. Podobny widok niebardzo zachęca podróżnego, ale kiedy się raz odważy i przebędzie niebezpieczny próg, trud sowicie nagrodzo-

nym zostanie. Otwarłszy oczy ujrzemy tak uroczy, tak cudny widok, iż wykrzyk podziwu mimowolnie wyrywa się z piersi przybysza.

W rzeczy saméj, nad głowami, pod stopami, wszędzie okalają nas cuda, których żaden pęzel, żadne pióro wystawić nie jest zdolne. Wyobraźcież sobie ażurową jaskinię, jakby z części niebios zlepioną. Przejrzysta woda unosi łódź wędrowca, któremu się zdaje, że jest w powietrzu zawieszony; u stropu wiszą topazowe stalaktyty niby wywrócone piramidy a do firmamentu przykute. W głębi groty na dnie ze złocistego piasku kołyszą się podmorskie rośliny dziwacznych kształtów, a na około ściany wiją się gałęzie koralów najprzeróżniejszych form. Od strony morza znajduje się gwiazda, którą wpada światło rozjaśniające na pół tajemniczo mrok tego czarodziejskiego pałacu wieszczek! Nareszcie w przeciwległéj stronie wznosi się jakby tron bogini, która sobie wybrała tę sale na miejsce rozkosznych kąpieli.

Niebieska grota nie była zapewne znaną starożytnym, albowiem poeci greccy nie zaniedbaliby przekształcić ją w pałac dla pomieszczenia któréj z bogiń morza. Swetoniusz z takiemi szczegółami opisując termy i łaźnie Tyberyusza, byłby zapewne poświęcił jeden ustęp téj naturalnéj sadzawce, które ten stary cezar nieochybnieby wybrał na miejsce swych niecnych bachandrji. Zapewne morze dochodziło w owych czasach wyżéj, i wody zatapiały wejście do groty, do któréj miały wtedy przystęp amfitrydy wraz z swym dworem syren, najad i trytonów.

Lecz podobnie jak Djanna pochwycona podstępem przez Akteona, tak rozgniewane amfitrydy zuchwałością podróżników, każą śmiałków wzburzeniem morza. Wtedy wejście do groty zamyka woda i wędrowiec, który miał godzinę podziwiać jéj cuda, niekiedy uwięziony w jaskini musi dwa lub trzy dni oczekiwać póki się bałwany morskie nie uspokoją. Doświadczeni w tym względzie gondoliery biorą z sobą żywność, i tym sposobem ocalają życie swoje i swych gości, bo inne niebezpieczeństwo podczas trwania burzy podróżnym w grocie nie zagraża.

Jest to ostatni akt podróży na Kapreę.

Z WIKTORA HUGO.

DWIE PIOSNKI.

I.

Słyszysz luba! tam w gęstwinie,
Niewidzialny flecik wzdycha,
O! najsłodziéj w duszę płynie
Pieśń pastuszka, tęschna cicha!

Gdy wiatr w drzewa zaszeliści,
Wód powierzchnię marszczy, zmąca,
Najweseléj duszę pieści,
Piosnka ptasząt czarująca.

Niczém nie trwóż się na świecie,
Trwajmy w uczuć wzajemności,
Najwdzięczniejszą pieśnią przecie,
Jest przeczysta pieśń miłości!

II.

Gdy nie masz nic mi powiedziéć,
Po co przybliżasz się do mnie?
Po co ten uśmiech? chciéj wiedziéć,
Królby go nie zniósł spokojnie...
Ach! po co zbliżasz się do mnie.

Gdy nie masz nic do zwierzenia,
Ach! po co ściskasz mi dłonie?
Snów anielskiego marzenia,
Co biegło przez twoje skronie,
Gdy nie masz nic do zwierzenia.

Ach! po co ściskasz mi dłonie?
Gdy chcesz bym odszedł zwątpiały,
Po co przychodzisz tu, proszę,
Kiedy cię widzę, drżę cały,
Nadziemskie czują rozkosze....
Gdy chcesz bym odszedł zwątpiały,
Po co przychodzisz tu proszę?

Jan Prusinowski.

ROZMAITOŚCI.

Bożek Fo i jego czciciele. Chiny są istnym krajem bogów, tak ich się tam wiele spotyka rozmaitego stopnia i rodzaju; z tego też względu przynajmniéj kraj ten ma niezaprzeczone prawo do nazwiska *Państwa Niebieskiego*, nadawanego mu przez mieszkańców.

Dosyć jest zatrzymać się chwilę przed którymkolwiek sklepem świętych posążków w Szangaï lub w Kantonie, aby nabrać pojęcia o niesłychanéj mnogości bożyszcz w Chinach. Widać tam ich wyobrażenia różnych rozmiarów i różnéj cery, najwięcéj z drzewa oklejonego złoconym papierem. Są tam figurki uprzejmie uśmiechnięte, inne patrzące groźno, inne jeszcze przerażające potworną postacią, przypominającą piekielne potęgi.

Znaczna część tych bożyszcz przeznaczona jest ku ozdobie pagod lub domowych ołtarzy; niemało též z nich przechodzi w ręce ciekawych Europejczyków, tylko że wtedy, zamiast należnych hołdów, spotyka ich raczéj los prostych lalek, mniéj lub więcéj uciesznéj postaci.

Bożek Fo, jaśniejący niemałą sławą w Chinach, gdzie liczy nader mnogich wyznawców i kapłanów, znanych w Europie pod nazwą *bonzów*, zasługuje przed innémi na bliższe poznanie. Istotnie, dziwne są dzieje jego żywota, oraz cudowne koleje, przez które dorobił się tak wielkiéj wziętości w kraju, nie będącym jego ojczyzną. Oto jest podanie najbardziéj upowszechnione w tym przedmiocie na całéj przestrzeni Państwa Niebieskiego.

Fo miał się urodzić w pewném królestwie Indyjskiém, w epoce, kiedy dynastja Czeu panowała w Chinach, z ojca zwanego Cing-Fan, który panował nad pewną przestrzenią kraju. Wykluł się cudownie z prawego boku swéj matki, zwanéj Mo-Ye. Zaledwie stąpił kilka kroków po ziemi, rzekł wskazując jedną ręką na niebo, a drugą na ziemię: „Ze wszystkich mieszkańców niebios i ziemi, ja jeden jestem godny uczczenia.” Tak cudowne wystąpienie, zaraz na piérwszym kroku zapowiadało już wyraźnie boga.

Doszedłszy do lat młodzieńczych, Fo zaślubił dziewicę zwaną Ye-hi, z któréj miał syna, wszakże podanie nie daje o nim żadnéj dalszéj wiadomości.

Mając lat dziewiętnaście, Fo uczuł w sobie z nagła wyłącznie powołanie do myślistwa. Opuszczał często na dni kilka pałac ojcowski dla szukania po lasach słoni i tygrysów; ztąd też nabył sławy najznakomitszego myśliwca, ale zarazem najgorszego męża z całych Indyi. Łatwo się tedy domyśléć, że skoro odziedziczył po ojcu tytuł książęcy i władzę panującego, doprowadził wkrótce swoje państwo do najnędzniejszego stanu, i tak skarb wyszafował, że przyszło mu wreszcie tułać się po lasach niedostępnych, gdzie żył dzikiemi owocami, i nie miał innego posłania nad suche liście z drzew opadłe. Ale i tam jeszcze zachował upodobanie do myślistwa; więc stale szukał w niém i nadal rozrywki razem z kilku wiernemi przyjaciółmi, dzielącemi smutny los pana; a zawdzięczając ich poświęcenie, w wolnych chwilach, udzielał im świętą naukę przechodzenia dusz w coraz inne ciała. Wreszcie, dotknięty chorobą, jak prosty śmiertelnik, zakończył żywot, z którego ani podobna się było domyślać przyszłéj jego sławy.

Nie widać w świętych księgach Chińskich żadnéj wzmianki o bożku Fo, aż do czasów dynastji Hanów; wtedy to dopiéro miało miéć miejsce cudowne zdarzenie, które mu nadało tak wielką wziętość u mieszkańców Państwa Niebieskiego.

Pewnéj nocy, cesarz Ming-ti, ujrzał przed sobą we śnie człowieka olbrzymiego wzrostu, przybyłego niby z zachodu, i stojącego we drzwiach cesarskiego pałacu, z łukiem w ręku i dwiema strzałami. Przerażony tém widzeniem, Ming-ti przywołał swoich ministrów, żądając, by mu je wytłomaczyli. Trudne było zadanie, lecz cóż robić, gdy pan każe, sługa musi. Zebrała się tedy rada, zastanawiała się głęboko nad snem tajemniczym, probując nadawać mu rozmaite znaczenia, ale żadne jakoś nie przystawało. Wreszcie ministrowie rozeszli się nic nie uradziwszy, ale wkrótce zebrali się znowu, i oto dwóch z nich, zapewne najmądrzejszych, imieniem O. i Mo. oświadczyli, że zdołali odkryć istotne znaczenie cesarskiego widzenia, szukając go w kształtach liter chińskich potrzebnych do słów: człowiek, łuk i strzały. Wynikłe z tych kombinacyi rezultata wykazywały jawnie, że człowiek widziany we śnie nazywał się Fo, że przeznaczeniem jego było uszczęśliwić Państwo Chińskie i bronić je od wszelkich nieprzyjaciół, i że należało go szukać na Zachodzie gdzie się koniecznie musi znajdować ślad jakiś téj boskiéj istoty.

Uszczęśliwieni odkryciem które ich wybawiało z kłopotu, ministrowie przyznali, że w obec podobnego wyjaśnienia, wszelka wątpliwość upaść musi, i przedstawili je cesarzowi, który hojnie nadgrodził mądrość swych doradzców.

Niebawem tedy, wyprawiono dwóch znakomitych dygnitarzy na Zachód, dla odszukania pożądanego zbawcy. Po całomiesięcznéj podróży przybyli oni do Indyi, gdzie dowiedzieli się w prawdzie, iż żył tam kiedyś zawołany myśliwiec nazwiskiem Fo, ale ponieważ pamięć jaką po sobie zostawił nie zalecała się wcale świątobliwością, nie zdało im się, aby mógł być tym, którego mieli do tak świetnych losów powołać, i wrócili z niczém do swego kraju.

Możeby się jednak byli skłonili do spełnienia mniéj sumiennie swego posłannictwa i do przesłania choćby na podrobionym bożku, gdyby byli przewidzieli smutny los jaki ich czekał za powrotem. Oburzony doznanym zawodem cesarz, wydał na nich wyrok śmierci, i rozkazał dwóm ministrom którzy potrafili sen jego odgadnąć natychmiast wybrać się w drogę, i jakim bądź kosztem upragnionego bożka dostawić. W drodze złożyli naradę ci biedacy celem uniknienia losu poprzedników, i oto przebiegłość ich podołała trudnościom

położenia znać bowiem koniec dzieła przypaść miał tym co je rozpoczęli.

Przybywszy do Indyi, kazali najlepszemu malarzowi miejscowemu wymalować postać człowieka olbrzymiego wzrostu, trzymającego łuk i strzały. Zabrawszy ten wizerunek, wrócili do kraju po czteromiesięcznéj nieobecności poświęciwszy ją niby poszukiwaniom, i stawiwszy się przed monarchą, rzekli mu: „Podobnie jak Państwo Niebieskie nie obeszłoby się ani na chwilę bez oglądania oblicza swego cesarza, tak i królestwo Indyi nie może się rozstać z swoim królem; ale przynosimy ci tu wierny jego wizerunek: dosyć jest aby bożek Fo był czczonym w Chinach, a już tém samém ludy twoje cieszyć się będą nieustającą pomyślnością."

Ming-ti uznał szłuszność przedstawionych mu względów; uradowany posiadaniem pożądanéj świętości, obdarzywszy hojnie posłanników, kazał postawić bożka na wspaniałym ołtarzu, i oddawał mu przez trzy dni hołdy nieustanne. Wreszcie, strudzony modlitwą i obrzędami, wpadł na myśl przekazania tych uciążliwych obowiązków komu innemu. Ale wybrani ku temu ministrowie, składali się brakiem czasu, a skoro rzecz zeszła na niższych urzędników, pokazało się, że ci tém mniéj jeszcze mieli chwil wolnych, im szczupléj byli płatni.

Chcąc wreszcie raz to załatwić, kazał cesarz uwolnić z więzienia kilku zbrodniarzy, z obowiązkiem kłaniania się nieustannie bożkowi Fo; i tak zostało przez czas dość długi. Skoro jednak objął rządy kraju cesarz Hün-Kung, monarcha ten nabożniejszy jeszcze od poprzednika, nie poprzestając już na wizerunku bożyszcza, zapragnął mieć jakie wyraźniejsze po niém pozostałości. Zaczém wyprawiono znowu do Indyi poselstwo, które po długich poszukiwaniach, odkryto wreszcie jedną z kości byłego myśliwca, i tę z tryumfem do Chin dostawiło. Uradowany cesarz, chcąc przesadzić wszystkich poprzedników, udarował wolnością zbrodniarzy z całéj stolicy, nakazując im nieustanne czczenie świętéj kości.

Wkrótce jednak zaczęło się to przykrzyć wyznawcom, pouciekali tedy na wszystkie strony. Chwytano ich i golono im część głowy, by nie mogli uciec potwórnie; ale i to nie pomagało; więc im je pogolono zupełnie i ztąd to do dziś dnia, bonzowie, kapłani bożka Fo, golą sobie głowy, podczas gdy inni Chińczycy noszą warkocze spadające na plecy.

Ten sam cesarz kazał wystawić obok głównéj pagody kilka mniejszych, a czciciele mieli obowiązek o pewnych godzinach bić w dzwony, by wiedzieć można, że są, i że czczą bożyszcze. Zwyczaj ten przechował się dotąd. Widząc niepodobieństwo ucieczki, piérwsi bonzowie poczęli się godzić z życiem, szukać rozrywki w urozmaiceniu obrzędów, i pisać księgi, w których zalecali prozelitom baczne unikanie wszystkiego czego im samym wzbroniono; ztąd do dziś czciciele Fo golą głowy i ślubują bezżenność.

Ostatni jednak przepis mógł zagrażać przyszłości cesarstwa; postanowiono tedy złagodzić go w ten sposób: że nie był niby obowiązkiem, tylko drogą do udoskonalenia, zostawioną każdemu obok wolnéj woli. Tych którzyby go przyjęli jako obowiązek, skarb podjął się utrzymywać do końca życia. Ta naprawa społeczna napełniła w krótce świątynie Fo próżniakami i niedołęgami, którzy, radzi żyć cudzym kosztem, mieli obok tego nieraz przeszłość do zatarcia.

Taki był początek bonzów, i zwyczajów, jakie się pomiędzy niemi dotąd przechowywały. Dzisiaj jeszcze, chodząc po żebraninie od domu do domu, powtarzają nieustannie słowa:

„O My to Fo." O i My przynieśli nam bożka Fo."

W każdéj pagodzie poświęconéj temu bożyszczu, widzieć można ogromną rybę z drzewa zawieszoną u sufitu; wędrowni téż bonzowie noszą w ręku drewnianą rybkę niezgrabnie wyrobioną, w którą stukają palcami przechodząc przez wioski. Dziwny ten zwyczaj tak się tłómaczy. Razem ze świętą kością wieziono z zachodu księgę nabożną, która wpadłszy przypadkiem w morze, została zapewne pożarta przez ryby. Na pamiątkę tego zdarzenia, uderzając w sztuczną rybę, dobywać z niéj można zatracone modlitwy. Jest sposób na wszystko.

Jakkolwiek dziwnie niedorzeczną jest tradycja tycząca się bożka Fo, to nie mniéj przecież wyznanie które się na niéj opiéra, nieledwie jest panującém w Chinach, a przynajmniéj stawia tam najsilniejszy opór pracy missyonarzy.

Nowości Zagraniczne

Le follet. Suknia wełniana pewszechnie przyjęta w tym roku: alpaga mohair i lenos stanowią zwyczajne ubranie letnie u wód i kąpieli morskich. Te suknie okładają materją, wystrzyganą w rozmaite wzory; obszywają ruszami, lub wstawkami z koronki, pod suknią idzie zwykle odpowiednia spódniczka.

Uważaliśmy pomiędzy innemi trzy ubrania które tu przytoczymy. Piérwsza suknia z alpagi jasno popielatéj, miała u dołu plisę fijołkową jedwabną, naszytą w zęby zakończoną z obu stron falbanką z wstążeczki fałdowanéj. Pomiędzy każdym zębem dana była rozeta z pasmanterji tegoż koloru. pod spód szła spódniczka fijołkowa wyszywana sutaszem perłowym. Stanik w formie fraczka a raczéj munduru gwardji, miał wyłogi fijołkowe przybrane pasmanterją, i odpowiednie epolety. Z pod otwartych przodów wyglądała kamizelka fijołkowa. Mały kaszkiecik słomkowy z fijołkowym piórem dopełniał ubrania.

Druga suknia mohairowa koloru Hawanna, miała dół wycięty w nie wielkie okrągłe zęby, obszyte fałdowaną wstążeczką. Nad tém szła frendzla z wełny lama, a nad frendzlą szlaczek wyszyty białym sutaszem odwrócony z przodu w górę, i dochodzący do pasa. W środku szły rzędem białe guziki z perłowéj konchy. Stanik gładki pod szyję, spięty na takież guziki, obciśnięty był szerokim pasem, z wielką klamrą z konchy perłowéj. Rękawy wąskie, ścięte do łokcia, miały u brzegu garnirunek muszlinowy, spadający na rękę, który zastępuje miejsce rękawa. Na zarzucenie dodana była mała rotondka, z tego samego co suknia mohairu, obszyta frendzlą lamową, przybrana z przodu guzikami. Kapelusik do tego biały tiulowy, naszyty białą sieczką miał przypięte z boku pióra bażanta; długie szarfy z tiulu jedwabnego, przewiązane pod brodą, ładnie dopełniały całości.

Trzecia suknia skromniejsza od dwóch poprzednich, przewyższała je nierównie, prawdziwie dobrym gustem. Suknia ta popielata z *poil* de *chèvre*, koloru srebrnego, miała trzy plisy jedwabne, tegoż koloru wystrzyżone u dołu w szpiczaste zęby. Każdy ząb przytwierdzony był maleńkim kwaścikiem. Paletocik wcięty do figury, miał takiż sam garnirunek, o połowę węższy jak na spódnicy. Kapelusz do tego biały włosianny, przybrany był skromnym bukiecikiem polnych kwiatków.

Fular zachowuje ciągle dawną wziętość uważamy go téż za najwłaściwszą materję na lato. Widzieliśmy w tych dniach kilka sukien fularowych, każda z nich przeznaczona była do odmiennego użytku. Suknia Hawanna w biały groszek, z stanikiem postyljońskim obszyta frendzlą białą lamową, stanowiła piękne wizytowe ubranie. Druga suknia jasno popielata (*grés vapeur,*) w białą krateczkę, jakby powleczona siatką, z takąż samą rotondą, właściwa była na przechadzkę, trzecia lilla w małe bukieciki, przybrana jedwabną plisą, miała takiż sam krótki paletocik; czwarta niebieska w perski deseń, służyła do rannego ubrania, piąta nakoniec biała, naszywana koronką i przybrana wstążkami, przeznaczoną była na wieczór.

Pekin w drobne podłużne paski, używany bardzo na suknie fijołkową w czarne paski. U dołu poniżéj kolan spódnica miała wycięte zęby półokrągłe objęte pliską czarną jedwabną. Z pod tych zębów do ziemi, spadał ukośny wolant szeroki przeszło na pół łokcia zakończony u dołu wąskim sznurkiem. Stanik gładki, spięty na czarne guziki z pasmanterji, miał od boków krótką baskinę, wyciętą w zęby. Rękawy wąskie obcisłe, tak aby ręka przejść mogła wycięte były w takież zęby u brzega i w podłuż przez łokieć. Pod spód szły rękawki batystowe, z mankietem obcisłym jak u mężkich koszul. Kołnierzyk batystowy gładki z odwiniętemi rożkami dopełniał ubrania.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia z żółtego gładkiego fularu, wycięta u dołu w szpiczaste zęby obszyte czarną koronką; powyżéj deseń wyszyty szmuklerską taśmą jedwabną. Suknia ta przeznaczona do spaceru jest tak krótka, że tylko dochodzi do falbanek spódnicy, jakby była ściągana na sznurki. Do pokojowego ubrania przypina się pod spodem pod zębami na guziczki gładki pas materij tak długi że stanowi całość sukni długiéj pokrywającéj spódniczkę. Kamizelka z białego fularu zapięta na guziki z białéj massy. Kaftanik krótki garnirowany koronką i taśmą szmuklerską. Spódnica z białéj alpagi z czterema falbankami, objętemi żółtym fularem. Nad trzema plisami plisa fularowa pokryta wstawką czarną koronkową, takie samo naszycie powtarza się nad czwartą falbanką. Kapelusz biały krepowy.

Figura 2-ga Ubranie panienki do piérwszéj komunij Ś-téj. Suknia biała muszlinowa garnirowana falbanką haftowaną *en tablier* i wstawką. Stanik bluzkowy z paskiem obcisłym jednakowéj formy na przodzie i na plecach, ozdobiony wstawką haftowaną i falbanką. Na głowie siatka z białéj jedwabnéj plecionki garnirowana białą ruszą nad czołem. Welon muszlinowy. Rękawiczki białe. — Figura 3. Ubranie chłopczyka do piérwszéj kommunij Ś-téj. Spancerek czarny sukienny. Pantalony i kamizelka z białéj piki. Krawacik batystowy.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Warszawa dnia 20 Sierpnia 1864 roku.

NA CMENTARZU, NA WULKANIE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Skutkiem podobieństwa nazwisk, jednoplemienności pana Hrabiego i pani Hrabinéj polskiéj, którzy oboje zdawali się unikać, choć ich nazwiska zbliżały, oczy gości ciągle się na tę tajemniczą parę obracały.

— A pan jakich jesteś Przerębów? spytał żółty Hr. Żywski artysty po polsku.

— Jakto? jakich? niedobrze zrozumiałem? odparł mały malarz.

— Jakiego herbu? dodał Hrabia..

— Ja? jestem tych Przerębów, którzy żadnego herbu nie mieli i nie mają, rzekł obojętnie malarz, z tych Przerębów którzy rąbiąc drwa podobno dostali imienia, pracując w kącie żyli i marli... tych Przerębów którzy z herbami wcale się nie znają...

— A! rzekł pargaminowy, a to pięknie bardzo wszystko być sobie winnym.

— Chcąc czy niechcąc, odpowiedział malarz, każdy tak samo wszystko jest winien sobie, mości hrabio... talent, szczęście, dolę, truciznę którą w piersi nosi... Majątek jest środkiem, imię narzędziem, których też potrzeba umiéć użyć...

Pargaminowy zagryzł wargi, kobiéta niegdyś piękna spojrzała na artystę z wyraźną jakąś wdzięcznością za daną śmiałą imiennikowi odpowiedź.

— Ale, przerwał Vicomte de la Meilleraie... przewracając karty albumu... sądziliśmy zapisując te imiona nasze i myśli, że to na coś posłuży do zawiązania rozmowy, tym czasem żadnego dotąd do niéj wątku... a jużciż godziłoby się raz w życiu u jednego stołu losami do jednéj szynki przypędzonym ustom, ozwać ku sobie tém szczerzéj, im nieodwołalniéj jutro, każdy z nas pójdzie swą drogą aż do drugiego spotkania na Józefatowéj dolinie. A że na owéj dolinie, dosyć, mówiąc między nami, ciasnéj, wątpię, żebyśmy się mieli czas przywitać i przypomniéć sobie... jest to więc wśród ogromnéj wieczności jedyne spotkanie... Czemubyśmy szczerzy być nie mieli aż do... aż do zuchwalstwa? jakby to było pięknie... Zamiast krochmalnych kilkunastu osób dobrze wychowanych, ujrzéć ludzi żywych, szczerych i zapominających na chwilę o gorsecie konwencjonalności, który ich uciska...?

Jesteśmy jak karnawałowe maski, czemuby z przywileju masek nie korzystać? Sir Price sprawił nam jedyne w swoim rodzaju widowisko, sprawmy sobie jedyny w swym rodzaju wieczór... ludzki... Zapomnijmy żeśmy obcy, bądźmy z sobą jak na Józefatowéj dolinie...

Część Angielskiéj familij i P. Julja Joly, która może miała powody obawiania się, na tę propozycją niesłychaną, zrobiła wielkie oczy... a P. Hermann Spauer z Münchem przerwał.

— Ale są, zdaje mi się ludzie między nami, których to nic kosztować nie może dla tego, że do świata... tego co wy zowiecie światem, nie należą...

Mógłbym wam wyspowiadać się z życia

i myśli moich, jak dawni chrześcianie, publicznie.

— A! a! rzekł garbus, to panu honor czyni! znać życie czyste...

— Nie może, ale wielką miłość prawdy; nie wstydzę się słabości moich, bo czuję siłę, która za nie płaci... zresztą artystą jestem i przywykłym do ofiary osobistości.

— Jakto pan rozumiesz? zapytała Hrabina Żywska.

— Artysta, który żyje w sobie i dla siebie, nie jest godzien tego nazwiska... rzekł Spauer. On jest niczém, dzieła jego są wszystkiém; całego ducha, co ma najbardziéj Boskiego w piersi w nie wlać powinien... to co stworzy będzie nim, on sam narzędziem, przez które natchnienie i myśl Boża przejdzie w te utwory. Dla tego często wielki mistrz nie odpowie wyobrażeniu, jakie sobie pospolicie o nim czynią, szukają oni w nim tego czego już w nim nie ma, co przelał w dzieło... i dziwią się gdy zobaczą suchą łupinę... Ziarno już arcydziełem rozkwitło... Dodam, że ci co zalotnie chcą się przedstawić, jako wielcy ludzie i wszystko dla siebie chowają co im Bóg dał, nigdy nic znakomitego nie utworzą...

— Teorja osobliwsza, przerwał Sir Price, paradox, ale nie bez pewnéj podpory... może znowu pan go bierzesz za zbyt absolutną prawdę, gdy w nim jest tylko cząstka jakaś...

— Ja to tak rozumiem, odparł Spauer... niech każdy z braci artystów powie, czy nie czuje, że ci co grają wielkich mistrzów i ludzi, nigdy dzieły swojemi wyobrażeniu jakie z osobistości ich powziąśćby można o nich... nie odpowiadają.

— Tak, przerwał Sestini, ale bracie w sztuce... zapomnieliście o jedném, to, że artysta który tworzy nie zuboża się, ale bogaci... Jest w tém tajemnica niepojęta... Przychodzi myśl... wcielasz ją... wlałeś w nią duszę twoją, stanął utwór rąk i ducha twojego przed tobą... jest w nim więcéj nad to coś ty tam włożył, ono tam spłynęło niewiedzieć zkąd i jak... Od dzieła twego promienie zwracają się ku tobie, ono cię oświetla, ono cię podnosi... uczysz się od tego dziecka trudów twych i potu... Jesteś pełniejszym, gdyś myślał żeś się wyczerpał...

— Drugi paradox... uśmiechając się rzekł Anglik...

— Jabym je pogodził, dodał garbus... Artysta wedle obu tych teorij jest to rodzaj konduktora elektryczności, który im więcéj sprowadza iskier i wciąga prądów, tém w ściślejszy wchodzi stosunek z niebiosami... A niebiosa znalazłszy drogę do przelewania się na ziemię, obracają swe siły tym szosowanym gościńcem...

Artyści uśmiechnęli się.

Na twarzy Hrabinéj rozmowa widocznie wywoływała młodość i rumieniec, oczy jéj błyskały ogniem coraz żywszym, w oczach odświeżała się jak owa róża Jerychońska, która potrzebuje trochę wody, aby zakwitła, gdy ją już za uschłą wyrzucić myślą... stawała się tak cudnie piękną, że młodsza od niéj i przedziwnych rysów Włoszka, pani Sestini gasła przy blasku téj twarzy; Julja była szczęśliwą i spokojną a spokój i szczęście mieszczą się w duszy i nie wychodzą świecić na wierzch, gdy burze duszy całe piorunują oczyma i ustami. Dla tego może fiziognomja Hrabinéj, która cierpiała i usiłowała walczyć z jakiémś nieznaném cierpieniem, tak majestatycznie była rozpromienioną. Sestini patrzał przypominając sobie Sybillę Dominikina i najcudniejsze utwory Włoskich mistrzów... Przed chwilą w Campo-Santo, była ta ruina, teraz kwiat wspaniały kobiéta w pełni życia namiętności i rozbolenia.

Oczy pargaminowego człowieka wlepione w nią były z dziwnym wyrazem wzgardy, gniewu zarazem i wyrzutu. Ale w źrenicach jego obumarłych iskry tego ognia przelatywały i gasły... zdawało się, jakby jakaś siła wewnętrzna tamowała ją i nie dawała im wybuchnąć.

Garbus, który widział z pociechą rozmowę

wychodzącą nieco z ram powszednich, był jak parobczak przy kominie podsycający ognisko.

— Zły kierunek bierze rozmowa, rzekł, bo choć wszyscy objeżdzający Włochy mniéj więcéj duszą jesteśmy artyści lub tym rodzajem hybridów, których zowią dilettantami, lepiéjby wejść na zadania bardziéj ludzkie.

— Odwołuję się do tego, com w księdze wpisał, rzekł Spauer, życie wyraża się całe w sztuce...

— Tak, ale sztuka nie wyraża całego życia... zawołał pargaminowy po długiém milczemiu. Bierze ona z żywota ludzkiego śmietankę, okrawa co jest najsmaczniejszego, postępuje jak dzieci, które chodzą około stołu zastawionego ciastkami i szczypią z niego rodzenki i cykatę...

— Przepraszam, ozwał się Sestini milczący dotąd... Sztuka prawdziwa dobrze pojęta jest sturamienną, ale my całéj jéj nie obejmujemy wejrzeniem, każdy z nas ma jakiś w niéj dział ulubiony, który zowie sztuką *par excellence* i część bierze za całość! Czegóż nie obejmuje sztuka...

— A! nędzy żywota... rzekł Hrabia, łachmańców tych ona nie śmie dotknąć, aby się o nie nie powalała... rzuca je, aby gniły przy drodze... sztuka jak elegantka brzydzi się tém co cuchnie, co jest ostre, co poczwarne, a życie nie składa się przecie z samych woni i pięknideł... Tam nawet, gdzie, jak w tragedij greckiéj, dobywa się do środka boleści i żywo serce rozkrwawione wyrywa z piersi człowieka, musi je wprzód w pachnącym spirytusie zamarynować, nim z nim wystąpi... W sztuce nie ma prawdy!

— Jest najwyższa, podchwycił Spauer gorąco... ale sztuki zadaniem jest życie... w zgniliźnie moralnéj i materjalnéj nie ma życia! dla tego sztuka je odrzuca, omija... uszlachetnia, upięknia, gdy ich dotknąć jest zmuszona. One zresztą stanowią kraniec jéj sfery, ona się o nie o piera w biegu rozpędzona, ale po nich bujać nie może.

— Kto waćpanu powiedział, porywczo zawołał pargaminowy Hrabia, że zgnilizna życia nie ma? Ma ona je, ale inne, ale niedojrzane oczom waszym... Ty ją nazywasz kresem i skrajnym wyrazem, ona jest piérwszym bełkotem nowego języka... wrotami nowego świata... Spojrzyj przez mikroskop na zepsute serce człowieka i sér przegniły... zobaczysz tam światy...

— Światy dla nauki... kolebką żywota... nie przeczę, rzekł artysta... ale sztuki zadaniem, życie w pełni, a nie *Emrbyo* bezkształtny...

— Dla czegóż powiedziałeś pan i napisałeś, rzekł cicho garbus z uśmiechem złośliwym, że sztuka całe życie wyraża? Wszystko jest życiem... śmierć sama jest życiem nowém... w nowéj formie...

— I stoję przy swojém, mówił Spauer...

— A! jacy oni nudni! cicho szepnęła skrywając ziewanie panna Julja Joly, możemy się wyśliznąć nie spostrzegą...

Niewszyscy wszakże równie nudną uznawali tę rozmowę, tak surowie osądzoną przez Szwajcarkę; kółko się coraz ściskało, a na twarzach malowało się żywe zajęcie temi zadaniami, które obchodzą gorąco wybrańsze dusze.

— Tak jest, tak jest, nieśmiało dorzucił Przeręba, powiedziałbym, że sztuka ma pewne momenta życia, w których się szczególniéj rozmiłowuje, do których powraca chętniéj, ale nie wyrzeka się ona niczego... Co sto lat, co pół wieku zjawia się jenjusz, który nowe dla niéj państwa zdobywa; przychodzą koloniści i obsiadają je; to co zna ogół ze sztuki nie jest nią całą, obszary które zajmuje niezmierne, a nie wszystko jeszcze co podbić może i powinna, podbiła... te światy zgnilizny, te formy tające się swą drobnotą przed oczyma, jutro mogą być pochwycone przez nią, jeżeli dziś jeszcze nie są..

Spauer ścisnął rękę Przeręby.

— Tak, dodał, dopowiedział on wybornie myśl mają... Skarżą się miałkie umysły, że wszystko już wyczerpane, że naśladowni-

ctwo tylko pozostało nam, cośmy przyszli za późno, że jeniusz ludzkości zleniwiał ale skargi to są tych, co daléj za skorupę tego co jest, nie przejrzeli... Mamy ogromne lasy dziewicze do zdobycia... Dam jeden przykład: w starożytności krajobraz był prawie nieznanym, jest on nową zdobyczą...

— Ale sztuka się poniewiera stając naśladownicą, rzekł garbaty.

— Tam gdzie ona tylko naśladuje, a nie tworzy, nie jest sztuką, jest sztuczką, odparł Spauer... Sztuka zdobywa formy a wlewa w nie myśl swoją, pełniejszą, potrzebne one są jéj jak ciało... ale nic nie znaczą bez ducha...

Hrabina Żywska tém uważniéj zdawała się zajęta rozmową, im goręcéj śledziły ją oczy pargaminowéj mumij. Pomimo żywego przedmiotem opanowania, przytomni przeczuwając jakiś dramat między temi dwoma istotami, śledzić je nie przestawali... Garbus nie spuszczał ich z oka... Sir Price lubował się tą biesiadą, nie dla wartości tego co się tam mówiło może, ale dla tego, że ona stanowiła uwieńczenie tego cudownego wieczora i przypadała doń wybornie. Pani Florence dzieliła rozradowanie męża... a młodzieniec nawet powoli przekonywając się, że traf nienadto pospolitych ludzi do koła tego stołu zgromadził, godził się z niemi i z myślą ojcowską. Jak wszyscy Anglicy młody dziedzic imienia Priców szanował inteligencją i uznawał jéj wartości w życiu. Któż wié, może ogniste czarne oczy Hrabinéj, które powoli wszystkich oczarowywały i jego dumę złamały... Milcząca ale coraz żywiéj jaśniejąca jakimś ogniem wewnętrznym, Adela czuć sama musiała wrażenie, które czyniła. Artyści, garbus, Anglicy, Sestini i jego żona, zdawali się mówić tylko dla niéj, ją brać za sędziego, a choć się prawie nie odzywała, czytali w jéj oczach jak wielki udział duszą całą brała w rozmowie, odgadywali sąd jéj o sobie... Urok téj kobiéty z każdą chwilą stawał się większy, choć nic go nie tłomaczyło... działał tajemniczo jak wypity napój odurzający, oczy jéj ciągnęły... krępowały, królowały. Tylko pargaminowy człowiek uśmiechał się wzgardliwie widząc ten tryumf, który zdawał się go powoli do gniewu pobudzać. Urągająco, wyzywająco patrzał na nią... choć ona unikała tego wzroku, który usiłował ją ostudzić, upokorzyć i złamać.

Garbus rozumiał teraz, że dwie te postacie walczące z sobą w milczeniu, ani obce sobie, ani obojętne być nie mogły, paliła go ciekawość, myślał jakbyją wynieść na scenę i zmusić do wydania się... mimowolnego.

Mumja mówiła milcząc, uśmiechem szatańskim.

— Czegóż się zwracacie, jak obałamócone księżycem słoneczniki, ku téj istocie któréj cały blask jest fałszem, chwilą zalotności i zimnym popisem.

Ja ją znam do głębi... jasność ta nie ogrzewa choć olśni... nie jest to ogień życia, jest to światło gnijącego pruchna... Głupcy! głupcy! całą tajemnicą jéj próżność... świeci dla was, ale w piersi jéj zimno i pusto!

Są chwile życia, w których myśl ludzka tak tryska oczyma, tak oblewa czoło, tak wybitnie się uwydatnia ruchami, postawą, że jéj wypowiedzić nie trzeba, czytają wszyscy jak w otwartéj księdze w człowieku. Na czole Hrabiego i Adeli równie jasno pisała się ona... Garbaty rozumiał, co tamte ognistc mówiły oczy.

— Nie wierzcie szatanowi... chciałby mnie pochwycić z sobą w przepaście, ale jam jest duchem swobodnym, porwanym ku niebu... drze szatę moją, a nie pociągnie mnie z sobą w otchłanie. Z walki téj ja wyjdę zwycięzcą... W oczach moich świeci niebo, w jego wzroku śmieje się urągowiskiem piekło, wszystkiemu co ziemia ma niebieskiego...

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

w Warszawie.